

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 29.

CHICAGO, 18-go LIPCA (JULY 18-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL.. POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



ZABAWA.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Przytoczyłem tu niektóre tylko wyjątki z obszernego sprawozdania, poświęconego nietylko bogactwom mineralnym, ale florze, faunie i klimatu okolicy. Ogólna jego treść bardzo była pomyślna, co powiększyło jeszcze emigrację, i skłoniło rząd do układów z Indyanami. Ale rozporządzenie ministra, aby, do czasu zawarcia układów, wywalić białych ludzi z całej okolicy, pozostało bez skutku. Zuchwali odpowiedzieli spartańskiem: „przyjdźcie i spróbujcie!” Tymczasem układy ze Siouxami szły ciężko. Część ich zgodziła się wprawdzie na odstąpienie terytorium, ale większa część, pod wodzą wsławionych wojowników „Crazy Horse” (Szalonego Konia i „Sitting Bulla” (Siedzącego Buhaja) nie chciała słyszeć o niczem. Wybuchła wojna, która nadspodziewanie przybrała początkowo nader niepomyślny dla Stanów obrót. „Siedzący Buhaj” zadawał klęskę po klęsce regularnym wojskom Stanów, a w końcu stoczył walną bitwę z generałem Custerem, w której ten ostatni z całym wojskiem poległ. Długowłosey skalp nieszczęśliwego generała powiewa dotąd u pasa indyjskiego wojownika, ale wojna oddawna już jest skończona. Siły Czerwonoskórych wyczerpały się; Siedzący Buhaj zaś schronił się do Brytańskich posiadłości. Nie potrzebuję mówić, że Anglicy przyjęli bohatera Siouxów z otwartymi rękoma. Wyznaczono mu obszerne terytorja, obfitujące w paszę i zwierzynę. Naprózno rząd amerykański ofiarował mu amnestyę, zgodę, a nawet i wynagrodzenia. Gdy zawiadomiono go o tem ze strony rządu angielskiego, uniósł się nadzuszony „Chęc” — rzekł — i serce moje otwarte będzie dla Anglików, którzy są dzielnymi wojownikami. Nigdy topór mój nie ubroczy się we krwi Anglika, ale poprzysięgam wieczystą zemstę Amerykanom, których języki są dwoiste, którzy łamią traktaty, odbierają dziś, co wczoraj przyrzekli, i tępią, jak zwierzęta, moich braci. Będę za nimi chodził do ostatka dni moich po ścieżkach wojennych, będę brał skalpy z nich, z ich skwaw i dzieci, a ogniem niszczył ich wigwamy”. Po takiej przemowie komisarze amerykańscy wrócili, nic nie wskórawszy; Siedzący Buhaj pozostał na ziemi angielskiej, przezuwając swą zemstę i nienawiść.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że Amerykanie płacą mu równą nienawiścią. Ograbiwszy jego naród, zajmawszy Czarne Góry, zrobili z niego teraz bohatera, który czeka tylko na jakiego Coopera lub Washingtona Irvinga, aby, odziany legendowym

urokiem, przeszedł do nieśmiertelności. Obecnie Sitting Bull jest to jedna z najpopularniejszych osobistości w Ameryce. Ilustracje podają jego portrety, dzienniki zwyczajnie drukują jego mowy — i sądzę, że niejedna romansowa miss zgodziłaby się poświęcić dni swoje na osłodzenie wygnania tak wsławionemu wojownikowi.

Rozpisałem się o tych rzeczach nieco szerzej, bo zdaje mi się, iż nie bardzo one są nam znane. Teraz zato mogę powrócić, jeśli wola, do mego „Anabasis”: Przez parę następnych dni odbywaliśmy drogę spokojnie. Indyan, którzy pojawili się po to tylko, aby zniknąć, policzyliśmy do mitów, i nie myśląc o tem więcej, prowadziliśmy życie po staremu, polując i zwiedzając okolicę. Nakoniec dotaraliśmy do miejsca, w którem Północne Widły skracają na wschód. Pasma Sweet Water Mts, kończyły się po obu stronach, a kanion rozpląwał się na północ w step, prawie nieskończony. Stojąc u wejścia kanionu, patrzyliśmy, jakby z olbrzymiego tarasu, na płaszczyznę, ciągnącą się u stóp naszych i pochylającą się coraz niżej w stronę gór wielkoróżnych. Widły się po niej długie smugi zarośli, których końce ginęły na skraju widnokągu, ale któż opisze ogólną radość i uniesienie, gdyśmy, między temi smugami na stepie, ujrzeli kilkadziesiąt czarnych punkcików, zaledwie widocznych dla oka, ale widocznie ruchomych. „Lewa ręka” przyłożył swoją imienniczkę, lewą rękę, do czoła, wyteżył wzrok, popatrzył chwilę, potem zwracając się ku nam, rzekł:

— Buffało!

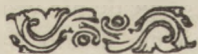
W tej chwili nadbiegli także przewodnicy. Obaj Smith i Bull, osadzili konie tuż przed nami — oczy ich błyszczały, usta śmiały się, nozdrza były rozszerzone, i znowu usłyszeliśmy z ich ust tenże sam radosny na stepach wyraz:

— Buffalo!

Po krótkiej chwili „Lewa ręka” objął nad nami dowództwo i poczęliśmy spuszczać się z tarasu. Pochyłość tak była stroma, że ani myśleć było o zjechaniu z niej wozami bez hamulców, ale konno spuściliśmy się łatwo. Zbliżywszy się do jednej ze smug zarośli, ustawiliśmy się gęsto i poczęli posuwać się z wolna samym brzegiem, tak, obyśmy w żadnym wypadku nie mogli być przez zwierzęta do strzeżeni. Dość silny wiatr, wiejący z północy, był także szczęśliwą dla nas okolicznością, albowiem utrudniał bawołom pochwycenie słuchem: naszych kroków, które przytem głozone były szelestem krzaków. Im bliżej byliśmy zwierząt, tem jechaliśmy wolniej: głowy spuszczone, w jednej ręce cugle ściągnięte krótko, aby uchronić konie od potykania się, w drugiej ręce karabin. Po godzinie takiej drogi, wiatr począł przynosić nam głuche ryki zwierząt, a po półgodzinie jeszcze mogliśmy je widzieć przez przerzedzone zarośla. Dzieliła nas od nich

odległość może pięciuset jardów — zbyt wielka dla karabinów systemu Henry. „Lewa ręka” odwracał od czasu do czasu głowę i ciskał piorunujące spojrzenia temu, kto sprawił najmniejszy szmer. Ale ko nie, jak gdyby wiedziały, o co rzecz idzie, stąpały cicho i ostrożnie. Każdy z nich zdawał się stawiać nogi z namysłem, aby nie nadepnąć jakiej gałązki, któraby mogła pęknięciem spłoszyć zwierzęta, lub nie uderzyć kopytem o kamień. Po chwili, ciche: „stop”, wymówione przez „Lewą rękę”, raczej poruszeniem ust. Bawoły poczuły nas. Byliśmy na trzydziestu jardów mniej więcej, przysłonięci jeszcze zaroślami. Na szczęście, są to zwierzęta równie ciekawe, jak płochliwe. W niespokojności, która ogarniała całe stado, zdawała się walczyć trwoga z zaciekawieniem. Krowy i młode bawolaki zaczęły się zbijać w wielką kupę. Samec pochylały straszne kudła te łby, wydając głębokie a krótkie ryki i uderzając silnie racicami o ziemię. Nakoniec całe stado jakby popchnięte niewidzialną siłą, ruszyło nagle, ale, zamiast uciekać, ruszyło wprost na nas. Niejedno tam serce zabiło wówczas niespokojnie, ruch ten bardzo był bowiem podobny do ataku. Z tem wszystkiem kilkanaście łuf pochyliło się jednocześnie w stronę zarośli, i, na dany znak przez „Lewą rękę”, daliśmy ognia; poczem, wyjąc po indyjsku, puściliśmy konie przez zarośla, aby, objechawszy ich koniec, uderzyć na stado. Po pierwszej salwie nie padł ani jeden bawół, natomiast wszystkiew mgnieniu oka zwróciły się do ucieczki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Obrazki z przeszłości.

II.

(Ciąg dalszy).

Gdy umowa uroczysta zawartą została, król rozpytywać począł Wincza o siły Krzyżaków, o dalsze ich zamiary. Wojewoda niewiele mógł go objaśnić. Niemcy z zamiarami kryli się przed nim. Powiedział jeno, że pomiędzy jego Wielkopolanami a Niemcami coraz mniej było porozumienia. Wojna, w której oni, wojownicy przez Wincza prowadzeni, często napastowanych i krzywdzonych braci swoich bronić usiłowali, coraz bardziej jątrzyła obie strony. Musiano rozsuwać obozowiska, aby do krwawych zająć nie przychodziło. Krewcy Nałęczce często burzyli się, dobywali mieczów, a Niemcy, ufni w swą siłę, nacierali na nich kupą, a starszyzna tłumić te waśni musiała. Niejeden trup z rozpiętą głową znachodził się o świcie w polskim lub niemieckim namiocie... Ginęli tajemniczo, a nienawiść rosła.

Marszałek Krzyżaków coraz mniej okazywał wojewodzie względów, przyjmował go ciłdno, nie zapraszał do siebie, a gdy się wśród uczty zjawił, lekceważenia wprost doznawał. Ile razy wojewoda zapytywał o dalszy pochód, zbywano go ogólnikami.

Król z opowieści Wincza wywnioskował, że dość skinąć, aby Wielkopolanie opuścili Krzyżaków, przeto ucieszył się.

Nagadawszy się i porozumiewawszy, pożegnał Szamotulski króla i królewicza serdecznie, a Łoktek, wyprowadzając go z namiotu, przestrzegł:

— Nie wrywaj się sam, nie wydawaj się z niczem, czekaj, aż ja uderzę. Marszałkowi kłaniaj się do chwili ostatniej, aby ci ufał. Długo na znak mój czekać nie będziesz.

Z obozu królewskiego wyprowadził wojewodę Floryan Szary, rycerz dzielny, człek zacny, który w zawołaniu kozła z rogami miał. Ten domyślił się, że pomiędzy królem a Szamotulskim zgoda nastąpiła, żegnając wojewodę, ścisnął go za rękę naszeptując:

— Chwalić Boga, że się tak stało.

A Szamotulski, palec na ustach położywszy, rzekł:

— Ani słowa! Przed czasem niech nikt o tem nie wie...

Wracał do obozu krzyżackiego Szamotulski chyłkiem, bo starać się musiał, żeby wycieczki jego Niemcy nie spostrzegli. Stał na miejscu szczęśliwie, lecz już w obozie się znajdując, trocha za daleko na prawo się zapędził, więc zamiast wprost między swoich, wjechał pomiędzy namioty krzyżackie. Tam zaraz wartownik konia jego za uźdę pochwycił, wołając:

— Wer da!?

Wszczęła się wrzawa, z namiotów powybiegali obudzeni nią Krzyżacy, a nawet zjawił się sam marszałek Teodoryk. Spostrzegłszy go, wojewoda skarżyć się począł na strażę, że znać nie chcą, kto on. Na twarzy Teodoryka widniało zdumienie i nieufność.

— A gdzieście po nocy bywali? — zapytał.

— Obóz mój przecie musiałem obejrzeć — ofuknął Wincz — żeby mi się nieporządki nie działy. Ludzi mi co noc zabijają.

Dnieć już zaczynało, popatrzawszy na wojewodę i na konia jego, na którym znać było, że nje mała objazdką około obozu, lecz dalszą jakąś wycieczką był zhasany, rzekł:

— Wejdźcie do mego namiotu, pogadamy.

W czerwonym namiocie marszałka zasiadłszy, Teodoryk zagadnął od niechcenia:

— Musieliście chyba po za obóz robić wycieczkę, bo koń wasz dobrze zmęczony?

— Nie mylicie się — odparł wojewoda. — Od wczoraj niespokojny byłem. Doniesiono mi, że król krakowski w bliskości, a jeżeli kto, to ja niespodzianie jego napaści się lękam.

— I mnie doniesiono o nim — podchwycił żywo Teodoryk. — Może wicie co więcej,

— Wiem napewno, jeszcze tak prędko niema się czego obawiać. Łokieć, o sile waszej zasłyszawszy, rzucił się wstecz i w lasy umknął.

Z wlepionemi w mówiącego oczyma, jak gdyby chciał zbadać go do głębi duszy, słuchał Teodoryk, a wojewoda mówił dalej spokojnie:

— Obawy niema żadnej, dla tego też dotarłem aż do znanej mi osady w lesie, żeby tam języka zasięgnąć.

— Co do mnie — wtrącił marszałek — radbym się wreszcie z nim spotkać i zgnieść go. Może udałoby mi się obu ich wzięść, bo słyszę, że i syn z nim jest?

Wincz głową poruszył.

— Czy syn jest z nim... nie wiem, lae, że go w bitwie nie będzie, to pewna. Choćby chciał, ojciec nie puści jedynej rodu nadziei.

— W którą król udał się stronę?

— Ludzie dobrze nie wiedzą, bo ostrożny jest — odparł Wincz. — Ale to pewna, że się do was nie przybliży. Siłę ma szczupłą, mierzyć się z nami nie odważy.

— A właśnie radbym się z nim spotkał — rzekł marszałek.

W tej chwili wszedł do namiotu komtur elbląski, spojrzął z podełba na Wincza, coś szepnął marszałkowi i wyszedł. Teodoryk wtedy odezwał się:

— Jakoś na waszych ludzi są skargi nieustanne, że niesforni...

— To ja raczej na waszych skarżyć się powinienem, ale gdzie u was szukać sprawiedliwości? Gorzej niż najmitów nas traktujecie.

— Trudno nam obu trzymać w ładzie żołnierzy, którzy dawniej nawykli walczyć przeciwko sobie... — mruknął Teodoryk.

Wincz westchnął, pokłonił się i namiot opuścił; zaraz po nim wsunął się komtur elbląski.

— A co? A co?

— Za obóz jeździł nocą, powiada: śledził obroty Łokcia, języka szukał... Rzecz podejrzana.

Komtur dłonią pogardliwie machnął.

— A choćby chciał, nic nie może uczynić!

— A nuż w ciszy zbiegnie z ludźmi?... Bo ludzie jego burzą się, szemrzą, nie chcą iść z nami... Chcą go pono gromadnie opuścić...

— Ano w najgorszym razie otoczmy ich i w pień wyrzeczemy...

Marszałek gestem zaprzeczył

— Do tego, jak teraz, posunąć się nie chcę.. Tymczasem na wojewodę baczcie. Źle mu z oczu pa

trzy, a z tego co od nas zyskał, rad być nie może.

Dnia tego Krzyżacy nie ruszyli, bo i nie wiedzieli, gdzie się mają obrócić, splądrowawszy znaczny szmat kraju. Celem ich było teraz króla, o którym wciąż słyszeli, spotkać i w walnej bitwie pokonać. Szukali go daremnie, czując, że szedł za nimi. Gdy im o nim oznajmiono, zwracali się w tamtą stronę, lecz zastawali tylko ślady obozu, z wygasłemi ogniskami.

Dzień ten zeszedł im na wysłaniu oddziałów wywiadowczych tu i owdzie, na wycieczkach po wsiach jeszcze ocalałych, chociaż takich niewiele było, bo żołdak krzyżacki, tak nielitościwie i barbarzyńsko szalał, że dzieje zapisały tę ich wyprawę na naszą ziemię krwawemi zgłoskami. Gdy po zdobyciu Sieradza komtur elbląski wchodził do miasta, nikomu wedle obyczaju krzyżackiego nie przepuszczając, przeor Dominikanów, który wprzód w Elblągu był i znał dobrze owego niecnego Hermana, upadł przed nim na kolana z błaganiem, by ludzi nniewinnych mordować nie kazał kościoł i klasztor od grabieży ocalił, dokąd wielu mieszkańców pod opiekę krzyża się schroniło.

— Oszczędź domy Boże! Oszczędź niewinnych! — wołał ze łzami.

Komtur spojrzął na niego szyderczo i krzyknął urągliwie:

— Nie rozumiem!

Jakoż Krzyżacy kościoł i klasztor, poczynając od ołtarzy złupili ze szczeniem zakonników, poobdzierali do naga, pastwili się nad nimi mordowali ich, jak również mnogi tłum tam się chroniący. Komtur żoładctwa swego wcale nie wstrzymywał. Można sobie wyobrazić so cię działo wówczas z polskim oddziałem, który na to bezczynnie patrzeć musiał i być tych zbrodni niejako współwinowającą.. To też z dniem każdym rosła w Nałęczach nienawiść do Krzyżaków i do wojewody, który ich wydał w ręce mordercze. Wincz przeto musiał chociaż iskierkę nadziei dać swoim, że rychłe spółnictwo z Krzyżakami zerwie, gdyż codzień uchodzili, codzień liczba ich się zmniejszała... Myślał właśnie, jakby to uczynić, gdy go zawiadomił Włostek, jeden z przywódców jego ludzi, że w obozie ujęto innego przywódcę, Dobka, który żołnierzy do gromadnego odstąpienia wojawody namawiał. Wincz rzekł krótko:

— Dávajcie mi go tu! A nie trzeba o tem głośić! Nie trzeba! Rozumiesz?

Zjawił się Dobek, Wincz zamknął się z nim w namiocie. Sądzono, że wojewoda ukarać go zechce, jako przestępcę, ale mniemania się nie sprawdziły. Dobek wyszedł z namiotu z dobrą miną, spokojny, niemal wesoły. Na zapytanie tych, których niedawno do ucieczki namawiał, odparł tajemniczo:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KOT^o I MYSZ.

KOT:

Jestem kotek, bury,
Łowię myszy, gonię szczury,
A gdy kiełbasę poczuje,
Ściągnę z talerza, — złasuję.

MYSZ W NORCE:

Jestem myszka mała
Młodziutka, nieśmiała,
W małej norce siedzę sobie,
Nic złego ludziom nie robię.

KOT:

Piękna myszko, wyjdź tu do mnie,
Zabawim się sobie skromnie.
(Na stronie). Ja ją zaraz złapać muszę,
Prędko chwycę i uduszę.

MYSZ W NORCE:

O fałszywy bury kocie,
Znam się ja na twoj robocie,
Siostra moja nieszczęśliwa,
W twoim brzuchu już spoczywa,
Ona mamy nie słuchała,
W twoje zęby się dostała.

KOT:

To jest potwarz niegodziwa,
Ze mną tak nigdy nie bywa.
Wyleź z nory i chodź do mnie,
Pójdziemy na spacer skromnie.

MYSZ W NORCE:

Znam twój spacer kocie bury,
Jak za gardło chwytasz szczury,
Gdybym matki nie słuchała
W twe szpony bym się dostała.
Lecz ja kocham mamę moją,
Nie będę zdobywcą twoją.

KOT:

Posłuszeństwa cnotę cenię;
Więc się kłaniam uniżenie,
Pójdę sobie łowić szczury,
Bom ja na to kotek bury.

Siostra Helena, C. R.



OPIEKUN ZWIERZĄT.

(Dokończenie.)

Zięba pielęgnowana troskliwie przez Janka, przez całą zimę wyrosła i wesoło fruwała, ale z nadejściem wiosny posmutniała i straciła apetyt.

Janek domyślił się, że tęskni za wolnością i choć mu żal było rozstać się z ptaszyną, — otworzył okno i wypuścił ją na swobodę.

Przez całe lato nie wiedział nic o swej ziębie, aż w jesieni w chłodny dżdżysty poranek, jakiś ptaszek począł się trzepotać do okna jakby prosząc o wpuszczenie. Janek otworzył. Jakaż radość i zdziwienie, gdy poznał swą ziębę.

Pewnego dnia przyniósł do domu zbłąkanego, bardzo chudego pieska, który skomlał z głodu i drżał z zimna.

Janek prosił mamę o pozwolenie chowania w domu pieska. Mama pozwoliła. Nazwał go Filusiem. Ponieważ obchodził się z nim łagodnie, piesek przywiązał się do swego małego pana i wszędzie mu towarzyszył.

Jednego dnia Janek spotkał jakiegoś podróżnego, który prosił go o wskazanie drogi przez las. Była już zima. Usłużny chłopak ofiarował się przeprowadzić podróżnego przez wąską drożynę, wiodącą do gościńca. Gdy wracał, śnieg sypał coraz gęściej potworzyły się zasy, a mroźny wiatr dreszczem przejmował małego Janka; biegł coraz prędzej, widząc że się w lesie z ciemnia, wierny Filuś towarzyszył mu, próbując węchem odszukać drogę, ale śnieg mu w tem przeszkadzał.

Chłopak poznał z przerażeniem, że zamiast zbliżyć się coraz bardziej oddala się od domu.

Zmęczony, upadł pod drzewem, sen go zmożył, zamknął powieki i zasnął.

Rodzice Janka byli bardzo niespokojni, ojciec wyszedł szukać go wszędzie, a mama modliła się i płakała, myśląc, że jej kochany synek może zmarznąć gdzieś wśród takiej zawieruchy; ale poleciewszy go opiece Matki Najśw. uspokoiła się i ufała.

W tem przed domem rozległo się donośne szczekanie, a potem gwałtowne skomlenie pod drzwiami. Mama otworzyła drzwi i z przerażeniem ujrziała pieska samego. Filuś wciąż szczekał i dawał znaki, że chce ją prowadzić, a widząc, że zabiera się do wyjścia i bierze latarnię ucieszył się, podskoczył i już innym głosem, oznajmującym radość, zaszczekał wesoło. Wychodząc z domu, mama spotkała ojca i oboje poszli spiesznie za prowadzącym ich Filusiem. Szli prędko, nie zważając na śnieg i zmęczenie. Filuś ich wyprzedził, rzucając się pod jedno drzewo z głośnem szczekaniem. Tam leżał Janek.

Odtarty śniegiem i przywrócony do życia, niebawem znalazł się w ciepłym łóżeczku, patrząc z radością na ukochanych rodziców i wesoło skaczącego Filusia.

S. H. C. R.



Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

MAMUKA: Masz tutaj... a spraw się dobrze (daje mu nagrodę pieniężną).

JONA: Dzięki ci, Mamuka!

MAMUKA: Ktoś się zbliża! do widzenia, (podaje mu rękę, gwałtownie ścisnąwszy.)

JONA: Aj! aj! co robisz! chcesz mi ją zmiażdżyć?

MAMUKA: No; nie krzycz, dzieciaku — do widzenia. (znika.)

JONA: Co to za djabelski uścisk! myślałem, że mi rękę zmiażdży... ach! tyś Jabel...

SCENA 3cia.

JABEL z pachółkami niosącymi kwiaty i JONA.

JABEL: Co ci się stało? dlaczegoś tak krzyczał?

JONA: Nic takiego, przypadkowo uderzyłem się w nogę...

JABEL: Słuchaj, te kwiaty jeszcze poustawiasz na stole...

JONA: Jak to... i kwiaty?

JABEL: Naturalnie, przecież będzie bankiet; Asser jest w domu, zajęty rozmową z Labanem, i daleko weselszy niż był z rana — zdaje mi się, że wszystko najlepiej się układa, czas na rozpoczęcie... goście i muzykanci już się zeszli, chodźmy...

JONA: Bardzo mię to cieszy...

JABEL: Każdy wierny sługa powinien cieszyć się, i szczerzy a nie kłamany brać udział w sprawach domowych... Ale chodźmy Jona na dół, Karmel chce nas widzieć obydwóch. (odchodzą).

SCENA IV.

Laban i Asser.

LABAN: Chodź, Asserze, chodź i patrz, to wszystko dla ciebie przygotowane, chciej zrozumieć, że ojciec pragnie jak największego szczęścia twojego; zaprosił wszystkich krewnych i przyjaciół, sprowadził muzykantów, ażeby jak najlepiej za upamięta li ten dzień dla ciebie; czyż więc wobec tego miałbyś serce tak okrutne, aby zasmucać tak dobrego ojca i opuszczać go na stare lata? Czegóż ci tu brakuje? Masz wszystko, czego z pewnością na obczyźnie nie znajdziesz; cóż może być przyjemniejszego nad wasz dom, w którym taka harmonia, taka zgoda, miłość i wesele! Ile razy tu przybywam, cieszę się i radbym na zawsze pozostał a gdy mi przyjdzie odjeżdżać, smutek mię ogarnia. Czyżbyś więc ty nie czuł się tu szczęśliwym?... Więc chcesz koniecznie odjeżdżać?... Tak?... czemuż nie odpowiadasz? dlaczegoś tak uparty?... dlaczego chcesz opuszczać twego starego ojca, który

cię kocha nad życie?... który łyż roni i poprostu prosi cię, abyś nie odjeżdżał!

Na niczem ci zbywać nie będzie; czy to nie wystarczy?

ASSER: Nie!

LABAN: Nie? a to dlaczego?

ASSER: Ponieważ postanowiono mię oddać do kupiectwa, a ja do tego nie czuję powołania żadnego.

LABAN: Spróbuj tylko, jedź ze mną a po odbytej pierwszej podróży zobaczysz, że i zdolności się znajdą, a potem udamy się do Aten.

ASSER: Do Aten chętniebym pojechał, ale jeszcze czas... obecnie muszę do Babilonii...

LABAN: Do Babilonii?

ASSER: I cóż w tem tak strasznego? W Babilonii można się zbogacić bez prowadzenia interesu perłami... tam wystarczy mieć przyjaciół i protekcję a ja właśnie posiadam i jedno i drugie.

LABAN: Ależ to mrzonki drogi Asserze! Czyż ty myślisz, że w Babilonii złoto na drodze leży?

ASSER: Tego nie myślę, ale kiedy się ma przystęp do najbliższego otoczenia królewskiego, można łatwo dojść do majątku i zaszczytów; rozumie się, że wstęp do dostojęństwa trzeba będzie drogo okupić a na to mię stać, bo mi się należy 15cie talentów w złocie.

LABAN: Wszystko to ładnie brzmi, ale pamiętaj Asserze, że rachuba twoja fałszywa i zginiesz, jeżeli przy swoim obstawać będziesz. W Babilonu nie cierpią nazarejczyków, tam oni się muszą ukrywać a co gorsza jeszcze, tam daleko łatwiej stać się niewolnikiem, niż dorobić się majątku; miasto to wielkie i wspaniałe, ale bałwochwalcze, lud zepsuty i występny, gorszy od plemienia ludożerców!

ASSER: Niczego się nie obawiam. Mam zresztą człowieka, a raczej przyjaciela wie-nego, któremu ufam i jestem przekonany, że on lepiej zna Babilon niż ty, a w końcu nie jestem już dzieckiem...

LABAN: Nie jesteś dzieckiem, to prawda, ale przyznasz, że więcej mam doświadczenia od ciebie, podróżowałem wiele, gdy ty wcaleś się z domu nie wyruszył, a do tego mam także doświadczenie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się dopiero w nieszczęściu.

ASSER: O tem nie wątpię, ale pozwólcieź mi samemu doświadczyć. Jeżeli upadnę to sam, jeżeli jeżeli zbłądzą i o tem się przekonam, to wrócę do domu pouczony własnem doświadczeniem.

LABAN: (sposstrzega zbliżającego się Karmela). Otóż i brat twój, poczciwy Karmel, może on cię przekona...

SCENA 5ta.

Karmel, Laban i Asser.

KARMEL: Więc cóż? Uparłeś się i obstajesz

przy swoim? Pamiętaj bracie, że opuszczając dom rodzicielski, przyspieszysz śmierć njukochańskiego naszego ojca!

ASSER: A to dobre! Czyż mam tu wiecznie siedzieć między czterema murami i spleśnieć, zmarnować moje młode lata?

KARMEL: Przecież i ja tu zawsze siedzę a nie uskarżam się — owszem — czuję się najszczęśliwszy w domu ojca.

ASSER: Siedzisz bo tobie nie wiele potrzeba do szczęścia; nie masz poczucia piękna, nic cię nie interesuje, nie kochasz wolności...

KARMEL: Mylisz się bracie, i ja cenię wolność, ale przede wszystkim cenię spokój i szczęście rodzinne.

LABAN: A więc dobrze Asserze, jeżeli chcesz wolności, jeżeli ci nudno w tych czterech ścianach, przecież nikt cię gwałtem nie zatrzymuje, możesz pójść, ale dlaczegoż tak gwałtownie, z takim pośpiechem, jakby się ten dom miał w tej chwili zawalić!

ASSER: Dlaczego ze teraz mam dobrą sposobność...

KARMEL: Dobra mi sposobność, oddawać się w ręce człowiekowi, którego nie znasz, a który może cię zgubić...

ASSER: Już ty się nie troszcz o mnie — ja dobrze znam moich przyjaciół i na wierność ich mogę liczyć...

KARMEL: Raczej na słowa, chciałeś powiedzieć.

ASSER: Szczerzy przyjaciele nie słowem, ale czynem okazują swą wierność...

KARMEL: Ale nie Mamuka! Ty nie znasz tego człowieka i tak mu zaufałeś, pamiętaj że on cię zgubi. Słuchaj, co ci radzi Laban, którego nie możesz posądzać o nieszczerłość; nie zatruwaj ojcu serca, który cię kocha nad życie. Patrz, jak on wszystko dla ciebie czyni, niczego ci nie odmawia, a czy ia ci zazdrości?... bynajmniej.

ASSER: Dziękuję ci Karmelu, lecz...

KARMEL: Kiedyś nareszcie przyznasz zupełnie, że mamy rację?... nie mogąc nie uznać za słuszną, co ci radzimy, zawsze bronisz się tym słowem „lecz, ale...”, pomyśl tylko, jak straszną krzywdę wyrządzasz temu starcowi, ojcu naszemu! Czyś nie widział w tych dniach, jak gorzko płakał nad twojem zaślepieniem i ty jeszcze śmiesz wątpić, że cię nie kocha?... Widzisz, właśnie ojciec nadchodzi wyjdź mu naprzeciw i rzeknij to jedno słowo, które go uspokoi i pocieszy.

SCENA VI^{ta}.

Eleazar, Jabel, Karmel, Asser i Laban.

ELEAZAR: O! Synu mój! tyś tutaj? szukam cię wszędzie, chcąc cię przynajmniej raz jeszcze uści-

snąć i pożegnać się z tobą, i powiedzieć ci na drogę, Jedź z Bogiem!

LABAN: Nie, Eleazarze, Asser nie odjedzie...

KARMEL: Niestety!

ELEAZAR: Prawda to więc, co mówi Laban? A więc ulitowałeś się nad sobą samym i nademną?

Czy to prawda Asserze? mów, niech cię ucieszę..

ASSER: Ja nie powiedziałem, że nie pojadę.

LABAN: Jak długo dasz się jeszcze prosić? chyba teraz już tak upartym nie będziesz...

ASSER: Ach! gdybym mógł...

ELEAZAR: Gdybyś mógł? Cóż ci na przeszkodzie stawa? Czyż to nie od ciebie zależy iść, albo zostać? Któż cię może zmusić, żebyś odjeżdżał?

ASSER: Nikt mię nie zmusza do zostania ani do wyjazdu, ale wyjeżdżając, korzystam z prawa wolności, której nikt mi nie ma prawa zaprzeczać.

ELEAZAR: Uważasz się więc za niewolnika w domu swego ojca, a któż może być wolniejszym jeżeli nie dziecko swego ojca? Mylisz się, jeżeli liczysz na większą wolność wśród twych przyjaciół, podeptanie bowiem wszelkich praw to nie wolność ale najstraszniejsza niewola...

ASSER: Dajcież mi już raz spokój; jeżeli źle uczynię, tem gorzej dla mnie, obecnie przyrzekłem, więc pod żadnym warunkiem cofać się nie mogę..

ELEAZAR: Przyrzeczenie uczynione wbrew woli ojca nie obowiązuje

ASSER: To prawda, ale ja już jestem zobowiązany...

ELEAZAR: Możesz już długów narobić? ja je chętnie zapłacę; potrzebujesz pieniędzy, dam ci, ile zechcesz, czegoż ci więc jeszcze brakuje?

LABAN: Asserze, chyba nie będziesz się dłużej opierał tak chojnie cię wynagradzającemu ojcu!

KARMEL: Co ty jeszcze chcesz więcej? Czyż może mamy ci do nóg paść i błagać cię?...

ASSER: Więc jak mam inaczej postąpić? Tej nocy jeszcze odjeżdża karawana, do której muszę się przyłączyć...

ELEAZAR: Wszystkiemu można zaradzić; tu na ziemi nie ma nic nieodwołalnego, trzeba tylko chcieć; wystarczy dać znać przyjaciołom: dziękuję wam za zaproszenie, ale ja obecnie nie mogę jechać. Oni z pewnością i bez ciebie odjadą. Za chwilę ma nastąpić uczta, którą dla ciebie przygotowałem i gości zaprosiłem — nie rób więc mnie przykrości twem dziecinnym postanowieniem i zawodu gościom; jeżeli nie wzrusza cię moja prośba, to wspomnij na pamięć twej matki, w imieniu której cię błagam, nie odjeżdżaj Asserze, czyżbyś i jej odmówił?...

ASSER: (opuszcza głowę i płacze.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,**
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

M. Synoradzki.

Święci patronowie i patronki.

Opowieści religijne.

Ks. Skarga nadmienia, że Wojciech, wróciwszy z Magdeburga do Czech, ciężkie pokusy przechodził. Pisze o tem tak: Dziewięć lat na nauce w Magdeburgu spędziwszy, stał się z Wojciecha uczony człowiek w każdej nauce, iż mało sobie równych towarzyszy w tej mierze miał. I wrócił się po skończonych naukach do domu ojca swojego, gdzie go młodość i krew bujna uwiodła. Bo gdy się z pracy szkolnej wyprzągnął, a próżnowania sobie dopuścił, za światem się i jego marnościami udał: na Pana Boga mało wspomnieć, rozkoszy marnej kosztować, z rówienniki biesiad używać i inne pochlebstwa a zwodzenia świata tego przyjmować począł. Niedługo w takim stanie nieprawej drogi trwał. Pan Bóg upomniał go śmiercią biskupa praskiego Detmara, przy której by łobecnym. On Detmar, konając, straszliwie wołał, iż go czarni czarci do piekła wloką. Wielki to gwoździć w cerce Wojciecha wbiło, iż o poprawie żywota swojego i drogach Bożych, któremi pierwiej chodził, skutecznie myśleć zaczął, nie omieszkując, skrócił obyczaje swoje i w klubę je bogobojności wprowadził.

Po śmierci Detmara, która w r. 982 nastąpiła, książę czeski Bolesław i władcy (to jest — najzaczniejsi panowie) wybrali Wojciecha, zaledwie trzydzieści dwa lata mającego, na biskupstwo praskie. Uląkł się Wojciech wielkiego brzemia. Przypomniał sobie wielkie zepsucie ludu czeskiego, stał mu też na oczach ciągle Detmar, którego

„czarne duchy rwały do piekła,” za nieskuteczne pasterstwo. Odpowiedzialność bowiem pasterska była wielka wszędzie, a szczególnie w dotkniętych upadkiem obyczajów Czechach. Tedy nie przed walką chwał się Wojciech, był on gotów poświęcić się Kościołowi, dla drogiej sercu powinności, ale kto go mógł zapewnić, że w pracy nie omdleje, że nieumiejętnością, nieudolnością swoją, brakiem potrzebnej nauki i mocy ducha (bowiem dalekim będąc od zarozumiałości, mało o sobie trzymał) — nie narazi zbawienia owieczek?

Tak rozumowali wszyscy święci biskupi i nauczyciele ludu, zanim dostojęństwo pasterskie odważali się wziąć na barki; tak też rozważał Wojciech. Miał po temu słuszne powody, bo w Czechach rozpasanie namiętności było powszechne! Sprośność, kradzież, wszelka zresztą ohyda weszła w zwyczaj. Waśni w rodzinach doprowadzały do straszliwego zgośnienia, do zabójstw. Ci żenili się z powinowatemi, tamci po kilka żon miewali. Dni świętych nie szanowano, w post oddawano się rozkoszom, czeladkę chrześcijańską sprzedawano Żydom. Nawet duchowieństwo wyłamało się z korbów, gdyż nie znało dokładnie prawd religijnych i dogmatów. Wśród takich przeciwności wola bodaj niepospolicie wielka złamać się może. Tedy słusznie frasował się Wojciech. Dodać trzeba, iż przewidywał, jako wyniesienie jego na wysoką dostojność obudzi zazdrość wśród czeskich rodów możnowładczych, które na wzrost potęgi Sławników oddawna niechętnem patrzyli okiem. Zwłaszcza zawidzili świetności imienia i bogactwom Sławników Werszowscy, także ród starodawny, magnacki, wielkie wśród Czechów zachowanie mający. I o tem pamiętał Wojciech, i ten wzgląd brał pod rozwagę. Aliści uległ namowom księcia Bolesława, i władcy, a raczej uległ woli Bożej — przyjął ofiarowaną godność.

Pół roku jednak musiał czekać na utwierdzenie go w dostojęństwie biskupiem. Utwierdzenie takie (inwestyturę) tylko cesarz niemiecki, któremu Czechy hołdowały wówczas, mógł udzielić, a cesarz prowadził wtedy we Włoszech północnych wojnę z Saraceni. Uspokoiwszy się, zwołał sejm do Weroni. Tam się stawił św. Wojciech, tam otrzymał pastorał i pierścień biskupi. Niezwłocznie potem udał się do Moguncyi, gdzie go miał konsekrować metropolita Pragi, arcybiskup Willigis. Ten obrzęd uroczysty odbył się 29 czerwca 983 roku, w dzień Apostołów ś-yh Piotra i Pawła. Po konsekracji wrócił Wojciech do Pragi bosy, a lud witał go z upojeniem radości, tłumami cisnąc się na jego drodze. O powiada wspomniany wyżej mnich benedyktyński, że przy wyborze Wojciecha na biskupa, klerycy słyszeli głos czarta, wyrzekającego:



SZKODNIK.

— Biada mi! — już się tu, w Pradze, zostać nie mogę, bo dziś obran jest biskup, sługa Chrystusów którego bać się muszę!

Słyszał to również Willigis, kapłan mądry i bo gobjorny, a słyszane zeznał przed opatem klasztoru słynnego na górze Kassyńskiej, we Włoszech.

W Pradze Wojciech zabrał się żarliwie do pracy. Wrzał w nim niepokój, który dobrze odpowiadał ogólnemu wówczas w całej Europie usposobieniu umysłów. Dawne głosiły przepowiednie, że świat się skończy w roku tysięcznym ery chrześcijańskiej. Termin ten się zbliżał, sprowadzając na ludzi trwożę. Odbywali pielgrzymki do miejsc cudownych, do Stolicy Apostolskiej, wreszcie bieżali do Ziemi Świętej. Wojciech całą duszą poświęcił się apolstwu, Uczył przestrzegał, podróżował. Naprzód odwiedził owieczki swoje, w Panonii mieszkające, w krainie na południu od Karpat położonej, zostającej pod panowaniem Węgrów, a mianowicie pod rządami ich króla Gejzy. Wtedy też zapewne zwiedził strony krakowskie, bo dycecyza jego praska aż w te ziemie się rozciągała. Istnieją w Krakowskiem podania o tem, a nawet lud dziś jeszcze ukazuje miejsce, z którego ongi kazał Wojciech.

W podróży apostolskiej chrzczył Wojciech mnóstwo ludu. Szczególnie obfite żniwo miał w kraju Gejzy, gdzie królowa, z polskiego rodu, Białą knehinią zwana, wszystko, co do małżonka należało, swoją sprawiała dłońią. Wówczas to ochrzcił Wojciech syna Gejzy, młodego Stefana, a obrządku dokonał w Granie, czyli w Ostrzyhomiu, stolicy Węgiei. Pomagał Wojciechowi w pracy apostolskiej dawny nauczyciel — Radło.

W Czechach szło Wojciechowi bardzo ciężko. Dawał wszystkim wzniosły przykład zaparcia się, usunął wszelkie ponęty światowe, dochody na cztery podzielił części, z których jedną przeznaczył dla kapłanów i kleryków, drugą na ubogich, trzecią dla kościołów i wykupna niewolników, a ledwie czwartą na swoje utrzymanie. Zawsze pokorny i pobożny, tylko świętą prawdę miał na ustach, przestawał na twardem łożu, na skąpej strawie, na chwilce snu. Posłuchajmy, co o jego życiu w tym czasie mówią dawni pisarze kościelni. Jeden nadmienia:

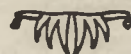
Prowadził dni świętobliwe, bogactwy gardził, złoto sobie za błoto miał, rozkosze, do piekła prowadzące, zdeptał. To jedynie jego pragnienie i staranie było, aby o Chrystusie myśląc, nic sobie innego nie smakował, nieczegoż innego nie szukał. Posty gęstemi i wielkimi trapił członki swoje, a modlitwa była mu chlebem powszednim, w której się ustawicznie, za swoje i ludzkie grzechy. Panu Bogu strudzonem sercem korzył. Wszystką się siłą starał, żeby złe namiętności i pokusy świeckie z serca swego wykorzenić. Znał się też na zastrzałach szatańskich i umiał z nimi wojnę wieść, a ko-

rzyści cnót świętych z pokus dostawać. Tyle mu (szatanowi) policzków dawał, ilekroć albo jawne poduszczenia jego zwyciężał, albo tajemnym mądre zabieżyć umiał. Serce wolne od myśli świeckich chowając, na skrzydłach je rozmyślania nabożnego w niebo podnosił, i jak uczył, tak żył, iż mu nikt rzec nie mógł:

— Przyjacielu, ulecz sam pierwej siebie.

W tem tylko nieszczęśliwy był, iż czujność około owiec swoich wielką mając, mało im pomagał, bo na złą i zepsowaną rolę trafił. Ludzie w zbytki wielkie i rozpustność się wdawali, brać wiele żon, niewolniki chrześcijańskie i dzieci swoje Żydom przedawać śmieli; święta gwoździć, postów nie chować, nikogo nie słuchać — to ich obyczaje były.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



O królewnie Elfów.

Był raz król i królowa, którzy, gdy dorósł syn ich jedyny, dał wielki bal, aby mu przedstawić najpiękniejsze królewny świata. Z pomiędzy nich miał królewicz wybrać sobie za żonę tę, któraby mu się najwięcej podobała.

Bal był wspaniały, zamek cały gorzał od święteł, sala ustrojona cudnymi kwiatami, posadzka jak szkło wygładzona, muzyka grała, a przy niej posuwały się w tańcu najpiękniejsze królewny. Królewicz patrzył na nie, one spoglądały na królewicza, a każda uśmiechała się do niego, białe zębki migwały wśród czerwonych ustek, ale królewicz pozostał obojętny; żadna nie podobała mu się więcej niż inne.

Znużony gwarem, muzyką i tańcem, wyszedł na balkon, a stąd po schodach zeszedł w cudną noc księżycową.

Cisza tam była, muzyka zdaleka tylko dolatywała z sali balowej, królewicz oddalał się coraz bardziej, aż zaszedł na ścieżkę, prowadzącą do gaju róż; zapach był tam cudowny, a światło księżycy ścieliło się po drodze jak srebro.

Wtem, tuż przed sobą ujrzął królewicz stojącą na ścieżce malutką osóbkę, była ona ustrojona jak dorosłe damy, w powłóczystej wspaniałej suknie, z koroną na jasnych włosach, ale sięgała królewiczowi właśnie do kolana. Cudna była, a przemówiła głosem tak miłym, jak srebrny dzwonek.

— Wszystkie królewny zaproszono tu dzisiaj i ja jako królewna Elfów dostałam wezwanie; jestem jednak tak drobna, że nie miałam śmiałości wejść na balową salę i oto tu przy świetle księżycy, który jest naszym słońcem, składam ci pokłon i witam cię, jako władcę.

Królewicz patrzył zachwycony, malutka panienska podobała mu się niezmiernie, rad był zaprowadzić ją koniecznie do balowej sali, ujął nawet jej rączkę, ale ta wymknęła mu się z dłoni, królowna Elfów zniknęła i tylko obłoczek mgły mignął mu przed oczyma.

Królewicz był sam, została mu jednak w ręce malutka rękawiczka, tak mała, że zaledwie mógł ją wsunąć na swój duży palec. Schował to cacko w zanadrze i zamyślony powrócił do zamku, Nikomu nie opowiadał swej przygody i zadumny udał się do swych pokojów.

Na drugi dzień znowu królewicz zeszedł do ogrodu w wieczór kisiężycowy, wypatrując pilnie po ścieżkach, czy nie zobaczy malutkiej panienski, ale — daremnie, nie było jej nigdzie. Wyjął więc malusienkę rękawiczkę i ucałował serdecznie. W tej chwili zjawiła się królowna Elfów, powitała go słodkim głosem, rozmawiali z sobą, a królewicz uważał, że troszkę urosła, tak dalece, że gdy jej oddał rękawiczkę, co mimo jej wiedzy w dłoni mu była została, ona już jej włożyć nie mogła, bo rączka była za duża.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona, oddała mu rękawiczkę, aby zachował ją na pamiątkę, a on powiedział:

— Przysięgam, że nigdy mię nie opuści, na sercu ją zawsze nosić będę!

Wtedy malutka królowna uśmiechnęła się błogo i rozwiała się w mgłę, królewicz zaś smutny powrócił na zamek.

Matka jego, królowa, widząc ten smutek, spytała, czy może która z królewien pięknych wesołość jego zabrała.

On jednak potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

Nazajutrz, skoro tylko księżyc zeszedł, królewicz już był w ogrodzie i czekał.

Malutka panienska zjawiła się śród krzewów różanych na ścieżce i była już znacznie wyższa, niż wczoraj, miała suknię długą, powłóczystą, koronę na jasnych włosach, a mówiła tak słodko, jakby śpiewem słowika.

Królewicz powiedział jej, że tęsknił do niej dzień cały, a ona uśmiechnęła się i podając mu rączki, rzekła, że jak długo kisiężyc świeci, wolno jej przychodzić do ogrodu. Królewicz zaś powiedział:

— Tak jesteś piękną, zgrabną i miłą, że muszę cię kochać jak żadną inną na świecie. — Wtedy królowna Elfów uśmiechnęła się radośnie, klansęła w rączki i rozwiała się w mgłę a królewicz smutny powrócił na zamek.

Nazajutrz była pełnia, księżyc zeszedł wcześniej a królewicz już czekał na różanej ścieżce.

Wtem zjawiła się królowna Elfów, dorosła jak zwykle panny i tak cudna jak zorza. Przemówiła

słodkim swym głosem, a królewicz padł na kolana i prosił, żeby została jego żoną i żeby poszła z nim zaraz przedstawić się jego rodzicom.

— Kochać cię będę wiernie i na zawsze — powtarzał z przejęciem.

Królowna złożyła rączki, patrząc w księżyc jakby w modlitwie a potem przemiliwym głosem szepnęła:

— Jak długo dotrzymasz słowa, tak długo zostanie z tobą, — i poszła za nim do zamku. Królestwo oboje bardzo się ucieszyli cudną synową i zaraz wyprawili wspaniałe wesele, na które sprosilili znowu wszystkie królowny.

Na wesele przybyła jedna królowna, która przedtem nie była na balu, głowa ją bolała i nie mogła wtedy przybyć. Dziś wyglądała wspaniale, miała rude włosy i fiołkowe oczy, piękna była, tylko głos miała chrypliwy i gruby, dlatego mówiła jak najmniej.

Królewicz aż przymknął oczy, kiedy ją ujrzął w tańcu, rude jej włosy olśniły, go jak błyskawica potem oczy jej zapachły mu fiołkami a kiedy poprosił ją do tańca, podobało mu się, że nic nie przemówiła, tylko rękę przycisnęła do serca kłaniając mu się nisko.

W tej chwili wprowadzona przez króla przechodziła mimo cudna żona jego. Królewicz jednak zauważył tylko, że jakoś mniej jeste urocza i zgrabna, niż mu się wczoraj wydawała. Wszyscy goście weselni zeszli potem w ogród, który wspaniale był oświetlony, wysokie fontanny biły wysoko w górę ku niebu i sypały brylantowe krople rosy. Muzyka grała a królewicz prowadził swoją żonę uroczą jak kwiat świeżo rozwity, milczał jednak a i ona nie śmiała przemówić. Kiedy obeszlili wspaniały ogród, a całe grono dostojne za nimi, weszli wstępując na wspaniałe marmurowe schody i wtedy to młoda żona królewicza potknęła się na swej sukni, zadrzała lekko i dwie łzy spadły na srebrny brokat. Spostrzegła, że maleje, suknia była za długa. Nazajutrz znacznie już była mniejszą i została w swoim pokoju wymawiając się znużeniem. Na drugi dzień była jeszcze mniejszą a kiedy wieczorem niepostrzeżenie wybiegła do ogrodu, znalazła na ścieżce malutką swą rękawiczkę, która dała królewiczowi na pamiątkę. Przynęła nosić ją zawsze a tak rychło ją zgubił! Szybko włożyła rękawiczkę na rączkę, bo już była znowu w pierwotnej swej postaci malusienką osobką, otarła spłakane oczy i klasnęła w dłonie a było to na tej samej ścieżce, wśród krzewów różanych, na której poznała królewicza. Zaraz nadpłynął obłok mgły, jakby łódź nadpowietrzna pełna takich ślicznych drobnych osóbek jak ona sama, które wyciągały ku niej ramiona wołając:

—Wracaj, wracaj do nas królewno, my Elty tęsknimy za tobą! — I podały jej ręce a ona lekka jak powiew oporu wionęła w łódz i odpłynęła do swego królestwa.

Królewicz zaś zwrócił się teraz do rudej królowy, co wszystkie jego myśli zajęła, ale ta odrzuciła jego rękę, gdyż żądała tronu z jednego dyamentu a tego jej nawet królewicz nie mógł ofiarować. Tron taki dał jej król podziemków stary i brzydki, za niego też wyszła piękna ruda królowa z fioletkowemi oczyma. Mieszkała pod ziemią w ametystowej grocie i siedziała pyszna na tronie z jednego dyamentu, choć tego nikt prócz karłów podziemnych podziwiać nie mógł.

Królewicz w noce kiszęzycowe chodzi często po ścieżce między różami i wypatruje swej uroczej miłutkiej żony ale — daremnie.

Nie wróciła już nigdy.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.
Przez Toręę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Z zadowoleniem wielkiem myślał Stabor, o tem, że gdy rano odwiedzi przyjaciela, będzie mógł powiedzieć: „spełniłem twoje życzenie“.

— Spróbuję, czy dziś jeszcze nie mógłbym się z nim wdzieć — rzekł sam do siebie. — Mam wieczór wolny, byłem już dwa razy u Sylwii pójdę do Marcelina uwiadomię go wcześniej.

I zamiast do siebie zawrócił na ulicę, która prowadziła do więzienia Mamertyńskiego. Szedł krokiem lekkim, ze spojrzeniem wesołym, z jakąś dobrą nadzieją w sercu. Już ściany budynku więziennego zamajaczyły mu w oddali, gdy naraz czuł czyjąś dłoń twardą na ramieniu swoim.

— Za często chadzasz tą drogą, braciszku — dał się słyszeć głos chrapowaty. — Pójdź za mną, mam prawo badać podejrzanych, zbadam i ciebie.

Stabor ujrzał twarz nabrękałą, czerwoną, o wylupiastych oczach, uśmiechniętą złośliwie. Twarz ta nie była mu obcą. Przypatrzawszy się lepiej, poznał w niej starszego z dozorców przy termach.

— Ha, ptaszku, masz minę spłoszoną, pocóż nie był ostrożniejszym. Przypomnij sobie, ileś to razy w żebraczym ubraniu, a czasami w patrycyusza szatach przechadzał się koło term i czule spoglądał na syna wygnańca Virinusa. Znam cię oddawna. Gdy panicza przeprowadzono do więzienia, przestałeś się zjawiać koło term. Nieszczęście prześladowało cię wszakże pod moją postacią, bo w tym czasie i ja z woli imperatora od term do więzienia mamertyńskiego na dozorcę przyszłych

męczenników przeniesiony zostałem i tutaj znowu zacząłem spotykać blade twoje oblicze.

Stabor ani przychylił słowom dozorczy, ani ich potwierdzał.

Napastnik zaś ciągnął dalej:

— Wiem, że złota ci nie braknie, alem ja nie z tych, co biorą, ostrzegam cię zawczasu: ja wiernie służę imperatorowi. Wczoraj oksarżono cię przedemną że jesteś chrześcijaninem, muszę to sprawdzić. Może to oszczerstwo, zaprzyj się powiedz, że po to odwiedzałeś syna Virinusa, aby go nakłonić do wyrzeczenia się za bobonów nazareńczyków; złóż naszym bogom ofiarę, a zapiszę twe imię na liście zasługujących na nagrodę, i Dyoklecyan obdarzy cię łaską swoją, a krnąbrnego syna Virinusa na sroższą śmierć skarze. Wskazuje ci drogę ocalenia.

— Nie kuś mnie! — odparł Stabor.

— Synku, chcesz się dobrowolnie zgubić — rzekł dozorca tym samym złośliwym tonem — ze mnie czuły ojciec, będę cię ratował, zabiorą cię ze sobą do domu tam pogadamy ze sobą. Gdy słowa do rozumu twego nie trafią może różgi trafią albo jakie inne narzędzia. Mam kleszcze mam haki piły i katów zręcznych.

To powiedziawszy, świsnął głośno. W tej chwili wybiegli z pobliskiego domu ukryci żołnierze i pochwycili ofiarę.

— Pójdź, pójdź! — rzekł dozorca syczącem głosem.

Stabor nie stawiał oporu.

Napróżno Marcelin oczekiwał przyjaciela nazajutrz, ten nie przyszedł odwiedzić go jak codzień. Straszny niepokój ogarnął z tego powodu serce nieszczęśliwego. Był prawie pewien, że przyjaciel jego został posądzony o sprzyjanie nienawidzonej w Rzymie sekcie, że dostał się do więzienia.

W modlitwie szukał zrazu pociechy.

ZAGADKI.

Szarada.

Kto drugie wiedzy i doświadczenia
Dostatnio i przezorności,
Ten wszystko w życiu zawsze ocenia
Według prawdziwej wartości.
Lecz p i e r w s z y t r z e c i poczet jest ludzi,
Co nieświadomą prostotą
Pozornym blaskiem zwykle się ludzi,
I bierze wszystkie za złoto.

Łamigłówka kratkowa.

1)	?
2)	.	?
3)
4)
5)	?	.
6)	?

1) Imię męskie. 2) Młode zwierzę domowe. 3) Miasto stołeczne. 4) Naczynie. 5) Naczynie. 6) Miasto na Litwie.
Syllaby: Grod—wa—ko—Wie—żre—Da—zy—ma—bie—deń—szyk—zo—no—ny.

Rząd oznaczony ? dają nazwę miasta.

Rozwiązanie zagadki z numeru 27.

Zadanie arytm.

W jadalni jest 7 krzesłek, a w sypialni 5.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwca, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St. Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezesa; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓZWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WŁADYSŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS ŁADOŃ, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. PIOTROWSKI Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacji otwarty co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od godziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą na porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcji, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom, na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacji.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnym złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznak, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucja 20c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c., assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równy wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$5.00 biorąc jako podstawą w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacon assesmentu miesięcznego.

NOWI CZŁONKOWIE MACIERZY POLSKIEJ.

2429.	Konrad Czemski,	IV	145
2430.	Marcel Gebert	I	218
2431.	Jan Gowendzki	I	219
2432.	Konstanty Rutkowski	I	220
2433.	Stanisława Polowa	IX	246
2434.	Antoni Kryza	XI	61
2435.	Katarzyna Szembek	XVII	43
2436.	Antonina Kwasiborska	XVIII	53
2437.	Marta Nastali	XIX	92
2438.	Marya Korzeniewska	XV	108
2439.	Katarzyna Kruzel	XV	109
2440.	Katarzyna Krawiec	XV	110
2441.	Stanisława Kilińska	XV	111
2442.	Józefa Hintz	XV	112
2443.	Maryanna Piesik	XV	113
2444.	Jadwiga Marszałek	XV	114
2445.	Zofia Skrzypek	XV	115
2446.	Bonifacy Bielawa	XIV	141
2447.	Józef Schroeder	XIV	142
2448.	Franciszek Pikowski	XXI	44
2449.	Maryanna Ciciora	XXIV	1
2450.	Marta Jordan	XXIV	2
2451.	Marta Stachowicz	XXIV	3
2452.	Rozalia Kaleta	XXIV	4
2453.	Anna Miotka	XXIV	5
2454.	Monika Sulicz	XXIV	6
2455.	Maryanna Lewandowska	XXIV	7
2456.	Katarzyna Ciciora	XXIV	8
2457.	Wiktorya Jordan	XXIV	9
2458.	Walerya Jordan	XXIV	10
2459.	Anna Stein	XXIV	11
2460.	Paulna Panfil	XXIV	12
2461.	Maryanna Kłyteczek	XXIV	13
2462.	Małgorzata Stachowicz	XXIV	14
2463.	Antonina Rebandt	XXIV	15
2464.	Maryanna Wałęga	XXIV	16
2465.	Anna Szewka	XXIV	17
2466.	Cecylia Trzebiatowska	XXIV	18
2467.	Marta Świątkowska	XXIV	19

Win. Józwiakowski Sekr.Gen.

Nie stan i zawód czynią człowieka godnym poważania i jedyną zasługę, leczs posób pełnienia obowiązków z zawodem połączonych.

* * *

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem? Bądź dla zwerząt człowiekiem a dla ludzi duchem!

* * *

Porządek powinien być pierwszą podstawą, główną sprężyną dzieł, prac i spraw człowieka; bez porządku nic uczynić dobrego nie potrafi; skoro bez niego postępuje, zapewne zbłądzi.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu. Inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Odziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA

141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Nadzwyczajny podatek na Pośmiertne.

Cyrkularz No. 26.

Na miesiąc Lipiec r. 1907 wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc Lipiec, roku 1907, przypada podatek nr. 26 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go Maja 1907 r., wnoszący trzydzieści centów, na pokrycie wypadku pośmiertnego: Nr. 40 ś.p. **Piotr Wałaszkiwicz** Oddz. 14, suma \$450.00.

Liczba członków i członkiń opodatkowanych 1576.

Zwracamy uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Wszystkie podatki do Kasy Głównej w miesiącu Lipcu. 1907 r. razem wynosić będą 50 centów.

Z bratnim pozdrowieniem
Julian Szczepański, prezes.
Win. Jóźwiakowski, Sekretarz.
Chicago, dnia 12go czerwca 1907.

WNIOSEK RUSKI O UNIwersytet WE LWOWIE.

Członek parlamentarnego klubu ruskiego we Wiedniu prof.

Dnistrjański opracował wniosek o założenie uniwersytetu ruskiego we Lwowie.

Wniosek opiera się na następujących zasadach: Uniwersytet ruski we Lwowie ma składać się na razie z trzech fakultetów: teologicznego, prawnego i filozoficznego. Jeszcze nie stworzone dotąd katedry mają być ufundowane i u systematyzowane. Językiem wykładowym i urzędowym jest język ukraiński. Obecni ukraińscy profesorowie uniwersytetu lwowskiego mają wyjść ze związku z polskim uniwersytetem i utworzyć na razie odrębne kolegium profesorskie które decydowałoby autonomicznie o wszystkich sprawach, dotyczących ukraińskiego uniwersytetu. Na niezajęte dotąd katedry mają być powołani przedewszystkiem ukraińscy profesorowie i docenci. Dla przedmiotów, dla których niema jeszcze habilitowanych docentów ukraińskich, ustanowi się suplentów z pośród tych doktorów teologii, prawa i filozofii, których wskaże ukraińskie kolegium profesorskie. Do komisji egzaminacyjnych rządowych mogą być powołani tacy tylko egzaminatorowie, którzy znają język ukraiński. Przy rygorozalnych egzaminach pytają tylko profesorowie docenci, względnie suplenci ukraińscy.

MARTA.

(Z powieści P. Orzeszkowej).

(Ciąg dalszy.)

Marta wróciła do domu, Jańcia przywitała ją okrzykiem radości, Radość ta bolesną była dla matki, rachowała ona w myśli zasób swój i drżała na myśl, że dziecię za dni kilka uczuje zimno — głód... Dziecię usnęło, a biedna Marta usnąć nie mogła: „Jakże byłam niedoświadczoną, myśląc, że wielkich rzeczy dokąże”.

Brzydki to był szary, dżdżysty dzień, a jednak Marta wesoło przebiegała ulice miasta, z us

miechem otwierała drzwi swej blednej izdebki, przycisnęła do pierśsi wybiegającą na jej spotkanie dziewczynkę i przyłgnęła ustami do jej czoła.

„Dzięki Bogu, dzięki Bogu, Jańciu! szepnęła i dwie łzy spłynęły. Czego ty płaczesz? szczebiotała Jańcia.

Marta nie odpowiedziała; zerwała się z ziemi i spojrzała w czarną głębię komina. Teraz dopiero uczuła, że była zmokniętą, że w izbie było zimno.

„Możemy dziś sobie ogień rozpalic na kominku.“ rzekła biorąc z za pieca, jedyną znajdującą się tam wiązkię drzewa. Jańcia poskoczyła z radości.

„Ogień, ogień.“ ja lubię ogień mammo! Tak dawno nie zapalałaś na kominku“.

Gdy ogień strzelił do góry, Marta usiadła i wzięła dziecię na kolana.

„Jańciu“ rzekła pochylając się ku bladej twarzyczce, jesteś małą jeszcze dzieciną, a'e powinnaś zrozumieć już to co ci powiem. Mama twoja była bardzo biedną, bardzo smutną. Dziś dano Mamie twojej robotę, za którą jej zapłacą. Dla tego trzeba żebyś podjękowało Bogu. Marta dostała lekcyc francuskiego języka.

Po pierwszej lekcyc francuskiego języka, wchodziła Marta do swej izdebki. Opuszczając ją miała twarz ożywioną, krok lekki wróciła powolnym krokiem ze spuszczonej oczami i wyrazem ciężkiego zamyślenia na twarzy wsparła czoło na dłoni i wpadła w głęboką zadumę. Po chwili powstała: „Nie“ rzekła zcicha, tak być nie może; Nauczę się, muszę się nauczyć, muszę umieć“. I wyjęła z tomoczka trzy książki — była to gramatyka, chrestomatyka i literatura francuska.

Wieczorem w izdebce na poddaszu paliła się mała lampka, a przy niej z rozwartą książką siedziała Marta; oparła czoło na dłoniach i pozerwała książkę. Biedna kobieta myślała, że wyciężone

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8mlu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznosieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przesyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

gorączkowe wysilenie wynagrodzić zdoła lata umysłowego zastojem i nieczynności, że drobna chwila obecna zaważy na szali z przeszłością całą i przeważy ją, że pragnienie niezmierne jedno znaczy w życiu, co możność. Łudziła się.

„Czasu, czasu! wołała niekiedy w myśli swej młoda kobieta, obrachowując, ile wierszy wyuczyć się może co dzień, lub stronic co tydzień. Gdybym miała przed sobą dwa lata, rok, choćby kilka miesięcy czasu... Ona niegdyś miała czasu dosyć, ale wtedy nie znała jego wartości; nie wiedziała, iż pracować trzeba dla przyszłości!

Miesiąc upłynął od dnia, w którym Marta zaczęła lekcje francuskiego języka; nie mogła się dłużej ludzić, nie umiała tego co powinna była umieć, aby dzie wczę już znające język francuski w tym przedmiocie wydoskonalić; to też po skończonej lekcji zbliżyła się do p. Rudzińskiej i rzekła:

„Nie mogę dłużej uczyć córki Pani“.

„Dla czego?“ wyjąkała Pani Rudzińska“.

„Dla,“ z wolna i po cichu odrzekła Marta, „dla tego, że nie umiem uczyć. Mówiąc to spuściła oczy; rumieniec okrywający jej policzki podniósł się na czoło i okrył twarz całą wyrazem pogłębiającego wstydu. „Omyliłam się ona samej sobie.“ mówiła dalej zostając ubogą pojęłam że prawie uboższe kobiety zostają nauczycielkami— myślałam więc, że i ja w tym zawodzie znajdę dla siebie pracę i chleb. Teraz przekonałam się że posiadam oderwane pobieżne, niedokładne zrozumienie wiadomości; nie uczyłam się za młodu gruntownie wytrwale, nie pojmo wałam potrzeby nauki. Zarobek jest dla mnie rzeczą bardzo ważną, nie mogą jednak postępować wbrew memu sumieniu“.

(Dokonczenie nastąpi)

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powiatrzem, Wibracją, Elektryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1080.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swój wielki SKŁAD OBUWIA
pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzciny, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w nocy. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 18x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGLASZAJCIE SIĘ

w „MACIERZY POLSKIEJ“.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzłoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzłoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzłoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na kłapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-ga:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli go-tówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepszych szczerzłote ślubne obrączki idźcie do jedyne-go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.

x

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Greenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom

OLSZOWY I SPÓŁKA.

812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Pókoj 807, 5cie piętro. Tel. Central 608.

Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 1427

Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

Ogłaszajcie się w

Macierzy Polskiej.

**WEST
SIDERS
BE
WISE**

Why pay big prices to build Tunnels and Skyscrapers? You can save money and improve the West Side by Buying at Home. Get the Union Label. Good Clothes.

THE ARMITAGE

Milwaukee & Armitage Aves.